



Boczny Tor 324
Koniec gry





akt drugi

Nigdzie się nie wybieram



To było łatwe. Ale bardzo trudno o tym pisać. Wstydliwie dotykam skóry. Nie, nie głaszczę się dla pocieszenia, że jest coś pod spodem; nie drżę przed oczywistością. To już? Już było? Tak.

Ponownie przeczytałem *Panny z Wilka*. Mniej mnie dziś porusza, jak zaprogramować się na resztę czasu. Mgliście poszukiwałem też *tego* wiersza Różewicza, w którym stary poeta siedzi naprzeciw młodej dziewczyny i chwyta się jej uśmiechu. Chyba... Tak zapamiętałem. Sprzedałem ten tomik, może go nigdy nie miałem i nie pozbyłem się marzeń? Najszybciej ściągnę na siebie z półki coś Sandora Maraiego, on to przewidiał jeszcze przed półmetkiem życia; wiedział sporo wcześniej, jak być obserwatorem pogodzo-

nym z każdą porą, nie tylko roku czy dnia, i jak mimo wszystko dać temu przejść przez siebie, by lornetka stała się kalejdoskopem poruszającym w dłoniach. Cóż, odwlekam wyznanie prawdy (o ile jakaś prawda ma się tu ujawnić).

Młoda kobieta na śniegu

Padał śnieg, gdy młoda kobieta przeszła obok i uśmiechnęła się do mnie. Uśmiech przyjąłem z podziękowaniem, zabrałem go ze sobą i przez jakiś czas uważałem, żeby się nie roztopił. Był to śnieżny uśmiech i topniał powoli. W końcu pozostała po nim odrobina wilgoci w mojej duszy; małeńka kałuża, nie większa od kropli łzy.

Sándor Márai, *Cztery pory roku*, przełożył Feliks Netz

Czytelnik, W-wa 2015 (oryg. 1938), s. 37-38

Wracam znad morza. Jest końcówka ciepłego kwietnia. Czas zatrzymany w pociągu (to żadna metafora, zwykły przejazd, powrót nie zza mórz i oceanów). Jestem pasażerem pośród innych pasażerów. Jedziemy.

Widzę młodą kobietę (jakie to wymowne: „młoda”; zaczynam rozróżniać) i... No, właśnie. Tu się kończy to, co łatwe. Co dalej? Mam ją opisać? Siedzącą na odległość wstać-podejść trzy kroki, rozmawiającą ze znajomym (jej), rozluźnioną, pełną życia (tak wygląda) w ten pogodny, promienny dzień wypoczynku — opisać jej oczy (od tego się zaczyna), włosy, uciekające spojrzenie, uśmiech przeznaczony nie dla mnie? Mam być sentymentalnym głupcem uświadomionym nie

w czas? Mam być jak wycięty z *Pornografii*, dać się kęsać Młodymi „niezkłóconymi”, niemającymi nic do mnie i dla mnie, poza moją przeszłością, którą nagle odtwarzam na najwyższych obrotach głowy? Uderzać mam w wysokie tony i tonąć w magmie słów? Przecież to żałosne. Kusi.

Trudno mi oddać to boleśnie radosne, ciężko-lekkie zatrzymanie czasu, którego doznałem, tę myśl czystą bez intencji zmiany, to coś grudkowego co rozpuszcza się momentalnie w sercu (albo w przełyku, jak kto woli), co paraliżuje jak kot mysz, tyle że nie o skok po zdobycz chodzi, choć nie jest tak, że instynkty przestają działać, gdy w duszy gra, cały ten podział na duszę i ciało jest niewiele wart w takiej chwili.



Nie pomoże wiedza i doświadczenie. To, co znalazłem kiedyś w fikcyjnym opowiadaniu Iwaszkiewicza, co było (chyba?) w zgubionym wierszu Różewicza, co topi się w miniaturze przemądrzałego Maraiego, wcale nie pesymisty — to coś (jak to nazwać, czy trzeba?) działa mocno wstecz i jeszcze mocniej zawraca, trafiając w sam środek jak strzała najlepszego łucznika, i pokazuje całą niedbałość życia z jego dawkowanymi niedosytami, przesyta-
tami, żałami, westchnieniami, znużeniem, zachwyta-
mami i... długo by naprzemiennie wymieniać.

Jestem pewny, że nawet gdybym dostał drugie życie, założył finałowy kostium Avengersa i cofnął się w czasie, wróciłbym i odnalazł siebie w tym samym punkcie. To ja byłem, ja jestem i ja nie wiem, co

będzie. Może tylko mniej się już boję. Nie dbam i dbam zarazem o drobiazgi. Łapię przelotne błyski życia jak mewa przynętę — okruchy świątecznego ciasta. To było łatwe, tych kilkadziesiąt lat.

Bardzo trudno to opisać. Że życie jest takie proste w niespełnianiu i takie skomplikowane, gdy chcesz mieć starannie dobrane składniki. Nic o tym nie muszę wiedzieć — patrzę i widzę w szybie, że przepływa przeze mnie tęsknota wypierana przez błogość, a ta postać w odbiciu to mój sobowtór próbujący udawać kogoś innego. Uspokajam się bez żalu. Bo czuję, poczułem, że pomału to już za mną. Już nigdy żadna kobieta nie będzie dla mnie dziewczyną, i to jest właściwe, dobre, zgodne z nieskończonym ruchem planet i gwiazd.



Młodość uśmiecha się do mnie z grzeczności i za-
kłopotania. Cóż poradzić? Czy trzeba? Życie idzie
naprzód, aż do końca. Nie mogę mieć sobie za złe,
że nie szedłem wciąż ku słońcu, pewnie spona-
łbym szybciej; że teraz chyłkiem łapię promienie
i wstyd mi, bo zawstydza, co moje: że nie umiem
zbliżyć się bardziej. Uciekałem, kombinowałem,
ulepszałem. Nie czułem się źle. Nawet jeśli tak
myślałem. To było łatwe, jakkolwiek się zdawało.

*A co zanotowałem? Muzy, wybaczcie! W pociągu —
zapatrzenie. Już nigdy. Ale było przecież możliwe. Dla-
czego czuję to dopiero teraz? Koniec gry. Pojutrze pre-
miera. Młodzi się cieszą. O dziwo, ja też nie mogę się do-
czekać. Tyle wrażeń... „Nicość nie boli”, zerkam na tytuł
felietonu w „Polityce”. Tak trudno się z tym pogodzić.*

Za późno, za późno... — to inaczej dziś znaczy: z przejęciem kiedyś, na chłodno teraz. Na chłodno? Czy prawda musi składać się z drobnych kłamstw? Widzę ją pod powiekami. I gdy patrzę, gdy nie patrzy.

Nie byłem gotowy? Kiedy jest się gotowym? Tyle się zdarzyło, nie do spamiętania. Teraz jestem poniszczony, nie w najlepszym stanie, terminy skrócone.

Zauroczony, wstrząśnięty — znam to — jak długo tak może potrwać? „Miłość faluje”? Brak czasu unieważnia większość pytań, grę na przeczekanie .

Ile trzeba zachwytu, żeby wystarczyło na zawsze (czyli do końca)? Nie ma sensu wierzyć, że młodość to jedyna odpowiedź. To wcale tak nie było: hop-siup! Teraz też,

nadal jestem zbyt sumienny i niecierpliwy, by z odłamków rozbitego kalejdoskopu układać mandalę. Błyszczą porozrzucane szkiełka. To śmieszne i żałosne, i miłe tak się wpatrywać i unosić ponad.

Przecież jestem, kim jestem. „Budzić się, zasypać razem”, cały ten arsenał przyrzeczeń i wyrzeczeń, celowych i bezcelowych napraw czegoś, co działa lub nie będzie działać; cała ta schizofrenia strachu przed przemijaniem, zamiast unoszenia się na powierzchni (jak mewy na wodzie i wietrze, wypatrujące wroga lub pożywienia).

Poczuć drgania chwili, wejść w bliskie kadry, w rozmowę o niczym, nie wymagać, za nic mieć uciążliwości, bo mijają jak wszystko.

Czy to na tym polega: wytrzymać jak na jakimś drążku gimnastycznym, byle tylko nie spaść?

Patrzę na nią i jest to idealny przykład niewdzięczności losu, że usiadła w zasięgu spojrzenia. Na szczęście to żaden splot cykli astrologicznych, pociąg niebawem dojedzie do celu, rozproszymy się i znikniemy jak po pstryknięciu Thanosa. Chcę się od teraz wzruszać tylko losem komiksowych bohaterów, nie swoim.

Ofiary muszą być, to najlepsze zakończenie wszystkich poplątanych wątków.

/ Max Zweit



akt pierwszy
Życie po życiu









BT nr 324 / 27.04.2019
zdjęcia na s. 1-3 — IGI,
reszta — dast (z cyklu
Nokia na plaży)

